

Książę stał w otwartym oknie i mimo przenikliwego mrozu, cieszył oko rozpościerającym się zeń widokiem na zalany słońcem, czerwony dach zamku i górującą nad nim zegarową wieżę. W prostopadłości murów umiejscowiona była olbrzymia tarcza, wypełniona rzymskimi cyframi po których niezauważalnie, lecz konsekwentnie poruszały się sporych rozmiarów wskazówki. Wspaniały zegar - stwierdził już nie po raz pierwszy książę. Ilekroć spoglądał na to arcydzieło mechaniki na nowo odkrywał jego piękno i kunszt wykonania. Chronometr latami niestrudzenie odmierzał czas. Nigdy też się nie zdarzyło, aby choć na chwilę stanął. Specjalnie zatrudniony pracownik miał obok mechanizmu niewielki pokój, dzięki czemu w dzień i w nocy mógł kontrolować jego pracę.

Ponieważ zegar, jak wspomniałem, działał doskonale tak naprawdę jedynym zadaniem mechanika było nakręcanie raz na dobę jego olbrzymiej sprężyny. Od czasu do czasu na polecenie astrologa dokonywał niewielkiej korekty wskazań.

Życie w księstwie zostało całkowicie podporządkowane rytmowi zegara co na owe czasy było czymś niespotykanym. Ludzie wstawili, pracowali, szli spać dokładnie według jego wskazań. Tam gdzie zegar nie był widoczny na przykład: ze względu na odległość, znajdowały się drewniane wieże, zwieńczone podobnymi do niego olbrzymimi traczami. Konstrukcje rozstawione były tak, aby obsługujący je żołnierze mogli przez długie, miedziane lunety dojrzeć wskazówki. Jakakolwiek zmiana ich położenia była natychmiast powielana na kolejnych wieżach, co powodowało, że w krótkim czasie docierała do najdalszych zakątków księstwa.

Oczywiście, zważywszy na odległość, istniało pewne opóźnienie, jednak ze względu na niewielkie rozmiary państwa i doskonałą sprawność żołnierzy nie wynosiło ono więcej niż piętnaście minut nawet dla najodleglejszych jego zakątków. Chronometr był jedynym tego typu, dostępnym dla mieszkańców, urządzeniem dzięki czemu mogli wykonywali swoje prace niemal w tym samym czasie.

Czas to zjawisko stałe i nie podlegające koniunkturze. Dlatego w ostatnio chaotycznie zmieniającym się świecie był to punkt odniesienia, na który książę Zygfryd mógł zawsze liczyć. Wyglądało na to, że i tym razem go nie zawiedzie.

Spojrzał na położone za murami miasta pola wśród których biegła kręta, piaszczysta droga. Na niej za chwilę zobaczy oddział eskortujący więźnia. Książę niecierpliwie oczekiwał jego przybycia. Wprost nie mógł się doczekać spotkania. Za kilka dni minęłoby piętnaście lat od czasu gdy Graf von Bardov został skazany na banicję, a teraz, po tak długim czasie, miał stanąć przed jego obliczem.

Swego czasu ojciec księcia Gustaw Sprawiedliwy, chcąc przerwać bezmyślny rozlew krwi, zabronił tzw. pojedynków honorowych, które stały się tak modne w ówczesnej Europie. Zagroził, że każdy kto złamie jego zakaz, zostanie, dla przykładu, skrócony o głowę. Niestety, Bardov zazdrosny o piękną dziewczynę, wyzwał na śmiertelny bój swojego konkurenta - margrabiego Schwartza. Po krótkiej, lecz trzeba przyznać uczciwej walce, wysłał biedaka szybko i sprawnie na drugi świat. Byłby za to Graf położył głowę na katowskim pieńku, gdyby nie interwencja jego pięknej siostry.

Gertruda wybłagała na Gustawie łaskę. Gustaw, zauroczony niezwykłą urodą niewiasty, zmienił wyrok. Po raz pierwszy i ostatni zrobiono wyjątek. Zamiast głowy hrabiego ścięto głowę czarnego orła, który był herbem rodu Bardov, a w jej miejsce wstawiono pięcioramienną gwiazdę. Nie koniec na tym bowiem Graf musiał opuścić kraj i pod groźbą dekapitacji przez następne piętnaście lat nie wolno mu było nawet myśleć o powrocie.

Niestety, czy to na skutek nieuwagi, czy zwykłej niecierpliwości pojawił się o kilka dni za wcześnie. Nie uszło to uwadze szpiegów księcia. Ten, usłyszawszy o tym, kazał go pojmać i jak najszybciej sprowadzić na zamek. Nie mógł zmarnować takiej okazji. Chciał koniecznie naprawić błąd jaki, jego zdaniem, popełnił ojciec.

Książę nie mógł zrozumieć jak można było, pod wpływem kobiecej urody, zmienić prawomocny wyrok.

Przecież taki czyn podkopywał fundamenty państwa i podważał autorytet suwerena - Jedyne Źródło Prawa.

Ile to razy, przy podobnych sprawach, zmuszony był odpierać próby powoływania się na precedens. Gdy ogłaszał wyrok, widział na twarzach podsądnych, ów ukrywany grymas buntu z powodu niesprawiedliwości jaka ich dotknęła. On Wielki Sędzia i Jedyne Źródło Prawa nie mógł na to dalej pozwalać. Dziś będzie miał okazję aby to naprawić.

Jeźdźcy powoli zbliżali się do miasta. Przodem na dużym czarnym koniu jechał wielki, barczysty mężczyzna. Ręce miał związane z tyłu co powodowało, że jego sylwetka była nieco pochylona. Ubrany był dość lekko jak na tę porę roku. Miał na sobie jedynie brązową, skórzaną kurtkę i tegoż samego koloru płócienne spodnie. Głowa obwiązana była białą, zakrwawioną chustą. Kruczoczarne włosy wraz z bujną brodą, uniemożliwiały dokładne rozpoznanie rysów. Nienaturalna postawa jeźdźca powodowała, że z każdym krokiem konia kołysał się to do przodu, to na boki.

Oddział powoli wyjeżdżał zza pagórka. Gęsty, sosnowy las został daleko w tyle. Przed Grafem rozciągał się teraz widok na miasto i górujący nad nim zamek.

Tuż za murami położone były pokryte śniegiem pola. Przedzielone gęsto miedziami, wyglądały z daleka jak chusteczki rozrzucone przez przechodzącego tędy, zakatarzonego olbrzyma. Przy drodze, z rzadka, rosły karłowate drzewa smagane przez północne wiatry, powykręcane we wszystkie możliwe strony, podobne do starych wędrowców, którzy aby odpocząć, na moment przysiedli na poboczu traktu.

Licha, piaszczysta ziemia nie dawała ludziom odetchnąć. Mimo, że pracowali przez cały dzień, ledwo wiąźali koniec z końcem. Ciężkie było życie w tym zakątku świata, lecz mimo to Bardov inaczej zapamiętał te okolice. Nic dziwnego wszak wspomnienia zwykle bywają przyjemne.

Na prawo dojrzał niewielki mostek przycupnięty nad bystrą, górską rzeką. Pod wpływem tego widoku stanęły mu przed oczami sceny z młodości, kiedy to w jego pobliżu razem z kolegami łowił ryby.

- Beztroskie czasy - westchnął i wzrokiem powędrował dalej.

Za mostkiem znajdowała się osada. Wydawało mu się, że znów słyszy rozbawione głosy dziewcząt siedzących na ławie i z zainteresowaniem wyglądające kawalerów. Jego serce wypełniło znane mu ciepło, a przez jego łądźwie przebiegło przyjemne uczucie. Jak przed laty, poczuł w wyobraźni miętkość kobiecego ciała. Wydawało mu się, że znów dotyka twarzą kobiecych włosów i muskając nosem chłonie ich zapach. Lubił zabawy włosami. Podniecały go. Podczas miłosnych igraszek zwykł mocno łapać w ręce i unosić wysoko. Następnie bardzo powoli wypuszczał tak, aby wysuwając się z jego dłoni, tworzyły pasma z wolna opadające na nagie plecy dziewczyny. Podniecały go włosy uplecione w długi warkocz, który skręcając lekko, delikatnie sunął wzdłuż szyi kobiety i dalej, niczym wąż, szybko przemykał między pólkulami jej piersi. Następnie, przez moment zasłaniając pępek, podążał wzdłuż brzucha, by ostatecznie zakryć swoim końcem wstyd dziewczęcia. Zwykł wtedy brać ów pędzelek w dłonie i delikatnie, niespiesznie pieścił nim różę między jej udami.

Kochał kobiety, a kobiety przepadały za jego towarzystwem. Kiedy wygnano go z ojczyzny, starszy brat zaprosił go do Italii. Tam również szybko podbił niewieście serca. Wysoki brunet z tajemniczego, północnego kraju, szorstki w obyciu, lecz jednocześnie bardzo towarzyski, nie uszedł ich uwadze. W porównaniu z wyperfumowanymi, zniewieściałymi kawalerami stanowił nie lada atrakcję. Oczywiście, Bardov nie był obojętny na ich westchnienia, jednakże mając za sobą przykre doświadczenie, stał się dyskretniejszy w zalotach. Omijając w ten sposób hordy zazdrosnych kochanków oraz mężów gotowych rozszarpać wielkiego niedźwiedzia, uprawiał miłość dyskretnie, w ukryciu, nie obnosząc się zbyt z swoimi podbojami.

Nie byłoby jednak prawdą stwierdzenie, że młodość strawił jedynie w kobiecych alkowach. Owszem, czas w nich spędzony stanowił pokaźną część jego życia, niemniej jednak również inne sprawy zaprzętały mu głowę.

Ponieważ jego młody umysł chłonny był wiedzy, tedy zaczął uczęszczać na uniwersytet w Padwie. Był bardzo pojętym studentem. W krótkim czasie zapoznał się z podstawowymi naukami, jakie były dostępne w ówczesnym, naukowym świecie i pod ich wpływem doszedł do wniosku, że jego życie przypadło na przełomowe czasy i to nie tylko w sztuce inżynierii, ale również w dziedzinie polityki i pojmowaniu roli jaką przyszło pełnić możnym tego świata.

Lata mijały szybko i czy nie znalazł na to czasu, czy też odpowiedniej osoby, wszak koniec końców nie założył rodziny. Ciągle, mimo sprzyjających mu okoliczności, czuł się w Italii obco, a jego myśli coraz częściej biegnęły ku ojczystym stronom. Często wspominał dzień, w którym przyszło mu opuścić kraj i ową sylwestrową, pogodną noc, kiedy to w świetle księżycy pędząc szybko na gniadym rumaku, przekraczał granicę.

Gustaw Sprawiedliwy wprawdzie pozwolił mu spędzić Boże Narodzenie z najbliższymi, lecz rozkazał, jeszcze przed końcem roku, opuścić księstwo. Teraz, po tylu latach Bardov wprost nie mógł się doczekać powrotu. Przygotowania podjął wiele tygodni wcześniej i kiedy minęła magiczna data, ruszył pełen nadziei na odmianę jaką zapowiadał Nowy Rok.

Z zamyślenia brutalnie wyrwał go koń, spłoszony przez wóz przejeżdżający obok. Graf odruchowo chciał chwycić uprzęż, lecz poczuł jedynie ból w nadgarstkach, przypominający mu o tym, że jest skrupowany. Zapewne spadłby z konia, gdyby nie jeden z żołnierzy, który przytrzymał zwierzę za uzdę. Klacz jeszcze jakiś czas parskała, lecz po chwili uspokoiła się i znów zaczęła leniwie człapać.

Okolica niewiele zmieniła się od czasu, gdy opuszczał ojczyznę. Mimo to Bardov dostrzegł kilka różnic. Nad ponurym zamczyskiem, jak dawniej, górowała wysoka wieża, lecz teraz na jej murach lśniła złotym blaskiem zegarowa tarcza. Widział po drodze wiele podobnych, ustawionych na wysokich masztach, oświetlanych w nocy za pomocą ognia. Powoli zaczął domyślać się po co zostały wybudowane.

Pod kopytami zadudnił zwodzony most. Jeźdźcy wjechali do miasta. Oddział wraz z więźniem powoli wspinał się po krętych średniowiecznych uliczkach. Pierwsze na co Graf zwrócił uwagę to kontrast między stolicą księstwa, a miastami w Italii. Tamte już dawno wyzwoliły się spod krepujących je więzów jakimi były mury i swobodnie rozlewały po najbliższej okolicy. W niektórych miejscowościach, aby nie ograniczać ich rozwoju, mury zostały całkowicie zburzone. Postęp w dziedzinie artylerii spowodował, że straciły na znaczeniu, a ich rolę przejęły budowane w strategicznych punktach, ziemne bastiony. Miasta zaczęły oddychać pełną piersią. W księstwie było jednak inaczej. Wydawało się, że jakby na przekór ruchom wskazówek zamkowego zegara, czas się tutaj zatrzymał.

Kolejną rzeczą, jaka nie uszła uwadze Grafa, była panująca wszędzie, wszechogarniająca pustka. Na ulicach, zwyczajnie, nie było nikogo.

- Dziwne - pomyślał - gdzie do licha wszyscy się podziali.

Wnet jednak dostrzegł przebiegającego pod murem chłopca. Dzieciak przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się przybyłemu, lecz zaraz potem szybko pobiegł przed siebie. Wyglądało na to, że gdzieś mu spieszo.

Z tego co Bardov pamiętał wjazd oddziału z więźniem zwykle wywoływał spore poruszenie. Najbardziej podniecone tym faktem były właśnie dzieci, które biegnąc za końmi, krzyczały udając jeźdźców. Dorośli w zależności od tego kim był pojmany, wiwatowali lub przeciwnie, wyzywali od najgorszych. Dlatego też często się zdarzało, że w kierunku więźnia leciały kwiaty lub dla odmiany kamienie. Wszystko zależało od nastroju tłumu. Czasami emocje sięgały zenitu i aby pojmanego nie zlinczowano, eskorta musiała być bardzo brutalna.

- Co stało się z mieszkańcami - pomyślał Graf i poczuł przyjemny zapach dobiegający z pobliskiego domu - czyżby, do cholery, wszyscy poszli na obiad?

Zmęczony całonocną jazdą smętnie wodził wzrokiem po bruku, na którym leżały resztki sylwestrowej zabawy. Wśród nich dostrzegł kolorowe zwoje papieru w kształcie tubek.

- To przypomina mi ... hm. To przypomina mi... tak na pewno, to są chińskie smoki. Takie same widziałem w Wenecji, ale tam na coś takiego mógł sobie pozwolić tylko doża. No, no kogo w tej dziurze

stać na taki luksus - pomyślał - Papier, kosztowna rzecz .

- Nowy Rok, chińskie smoki... Nowy Rok. Chyba rozumiem o co chodzi ... na pewno!

Gwałtownie ścisnął nogami konia. Posłuszne zwierzę przyspieszyło kroku i po chwili zaczęło biec kłusem w kierunku zamkowej bramy. Zdziwieni zachowaniem więźnia żołnierze, nie mając wyboru, szybko podążyli za nim.

Książę dojrzał z okna komnaty mężczyzn jadących przez dziedziniec. Wśród nich zauważył barczystą postać. Był prawie pewny, że to Graf. Chwilę przyglądał się uważnie, po czym szybkim krokiem ruszył do biblioteki.

Biblioteka, była to sporych rozmiarów, wysoko sklepiona komnata, w której książę zwykł przyjmować interesantów. Jednocześnie była ona rodzajem sanktuarium, gdzie nagromadzone przedmioty miały przypominać przybyłym o tym, co dla władcy jest najważniejsze. Prawo - czas - porządek tak można pokrótce streścić jego dewizę. Nie na darmo więc, obok obrazów przodków, wisiały gotowe już zegary oraz równie wiele podobnych urządzeń, których budowa jeszcze się nie zakończyła.

Salę wypełniał delikatny stukot mechanizmów, prawie niedosłyszalny świergot małych zegarów oraz szum pracy olbrzymich przekładni i trybów. Co chwilę można było usłyszeć jęk ogromnych sprężyn, uwalniających energię swych zwojów. Powietrze dostojnie ciężło olbrzymie wahadła zakończone ciężarem wielkości rycerskiej tarczy. Nad nimi umieszczone były wielkie cyferblaty, zakryte szklanymi szybami, szlifowanymi, tak jak soczewki w lunetach, u najlepszych holenderskich jubilerów. Samo szkło, pierwszej klasy, pochodziło ze znanych w Europie czeskich hut. Kupowane dyskretnie, w małych seriach, od wielu dostawców tak, aby nikt nie mógł się domyśleć do czego mogły służyć. Salę wypełniał szum niezliczonej ilości zapadek i łożysk, który powodował, że przebywający tu ludzie ścisiali rozmowy, bojąc się zakłócić tajemniczą, wręcz mistyczną atmosferę.

Pod ścianami stały ciężkie stoły, na których, przybite łańcuchami, leżały ogromne księgi w drewnianych oprawach. Dzieła pisane ręcznie zawierały zbiór praw obowiązujących w królestwie. Kodeksy dotyczyły nie tylko rzeczy najważniejszych, lecz regulowały niemal każdy przejaw życia mieszkańców. Paragrafy, zapisywane z pokolenia na pokolenie, tworzyły niemały zbiór.

Jednak najwięcej zapisów przybyło za panowania obecnego władcy. Książę lubował się w ich wymyślaniu, dzieląc czas między dwie namiętności - mechanikę i prawo stworzył ich zaiste krocie. Oprócz ksiąg typowo prawniczych biblioteka posiadała w swych zbiorach kilka bezcennych manuskryptów, pisanych przez średniowiecznych skrybów. Niedawny zakup kilku z nich spowodował, że biedne dotąd księstwo, tym razem, stanęło na skraju bankructwa.

Salę przykrywał sufit wyobrażający niebo. Nie było to co prawda planetarium, lecz znajdowały się na nim podstawowe gwiazdozbiory z odpowiadającymi im znakami zodiaku. Planety przedstawione zostały pod postacią dziewcząt i młodzieńców. Mars srogi wojownik w purpurowej zbroi. Wenus z pięknymi, opadającymi, blond włosami oraz chyży Merkury ze skrzydełkami u sandałów biegnący w bliżej nieokreślonym kierunku. W tej to bajecznej scenerii książę Zygfryd miał zwyczaj udzielać audiencji. Tutaj też zwykł rozmyślać o sprawach królestwa.

Książę szybko zbliżał się do drzwi sali. Usłudni wartownicy otworzyli przed nim ciężkie podwoje. Kiedy wkraczał, rozmowy ucichły. Idąc po długim czerwonym dywanie, widział jak kolejne głowy, w ukłonie, poruszane niczym klocki domina, jedna po drugiej opadają nisko. Spojrzał po najważniejszych dworzanach.

- Dziwne nie widzę astrologa - pomyślał siadając na tronie. W końcu dostrzegł jego łysą głowę. Znajdował się w dalszym rzędzie i jak inni oddawał mu pokłon. Tym jednak razem nie patrzył na władcę, by jak zwykle próbować odgadnąć jego wolę, lecz stał skromnie z tyłu, wyraźnie nie chcąc rzucać się w oczy.

- Dziwne – zauważył Zygfryd - zwykle pcha się do przodu lub stoi pod tronem.

Książę jednak dłużej nie zaprzętał sobie tym głowy. Przecież czekał na przyjaciela z dzieciństwa.

Użycie słowa przyjaciel byłoby tu jednak wyraźnym nadużyciem. Co prawda znali się od dziecka, jednak dzieliła ich różnica tak charakteru jak i wyglądu. Graf wysoki, przystojny, lubiany zwłaszcza przez młodsze pokolenie. Natomiast książę przeciwnie mały, cherlawy był jego zupełnym przeciwieństwem. Zamknięty w sobie potrafił godzinami przesiadywać w samotności. Owszem, czasami próbował to zmienić szukając kontaktu z rówieśnikami, lecz zwykle po kilku oficjalnych zdaniach odchodził z godnością i raną w sercu. Zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że tylko pozycja następcy tronu powodowała, że koledzy oszczędzali mu przykrych docinków. Czuł niemal namacalnie ową gęstą atmosferę, która pojawiała się niemal idealnie wraz z jego nadejściem.

Herold obwieścił przybycie więźnia. Książę kazał wprowadzić. Po chwili przed obliczem władcy stanął Graf. Ponieważ stał w dość dużej odległości, książę nie mógł dojrzeć jego twarzy. Sięgnął, więc po szkło oprawione w drewnianą rękojęść, lecz nie znalazłszy go w miejscu, gdzie zwykle leżało, wstał z tronu i podszedł bliżej. Widząc, że władca kieruje kroki w stronę więźnia, jeden z żołnierzy uderzył Grafa w ramię, żądając w ten sposób, aby ukląkł. Miało to nie tylko upokorzyć go wobec majestatu, lecz również spowodować, aby oczy Bardova znalazły się na wysokości oczu księcia. Było przecież rzeczą nie do pomyślenia, by Graf patrzył na niego z góry.

Książę nie rzekł słowa tylko powoli obchodząc go, zaczął rozmyślać. Nagle powróciły wspomnienia.

Bardov zawsze był dla niego wyzwaniem. Od dzieciństwa starał mu się, pod każdym względem dorównać. Natura była jednak bezlitosna. Z biegiem czasu Graf przerósł go o głowę i rósł dalej zdawało się bez końca. W próbach siły nie miał z nim praktycznie szans i zapewne tylko przez grzeczność, czy z wyrachowania Bardov pozwalał mu czasem położyć się na łopatki.

Zygfryd nie brał udziału w turniejach ponieważ nie lubił koni. Długo też ich nie dosiadał. W końcu, zmuszony przez ojca, dokonał tego wyczynu, lecz po kilku groźnych upadkach zrezygnował z dalszej rywalizacji. Odtąd był tylko biernym obserwatorem widowisk z zazdrością patrzącym na Grafa, w którego kierunku z trybun panny rzucały kwiaty.

Powoli stawał się milczący i ponury. Zaczął stronić od ludzi. Teraz większość czasu spędzał w swojej pracowni, gdzie obmyślał różne, sprytne urządzenia, których z biegiem lat, przybywało coraz więcej. A to tajemne przejścia, a to zapadnie, czy ruchome drzwi otwierane za pomocą ukrytych przycisków. Doskonałe katapulty miotające pociski na wielkie odległości. Wszystko po to, aby ... wypełnić czymś czas, którego miał w nadmiarze. Koniec końców zaczął rozmyślać o nim samym i jego uniwersalnym charakterze.

Młodemu księciu wydawało się, że tak naprawdę wszystko go na tym świecie zawodzi i tylko czas jest jedyną rzeczą, na której może polegać. Chcąc mu się bliżej przyjrzeć, zaczął rozmyślać o tym, czy nie można byłoby go dotknąć lub zmierzyć. Zaczął, więc konstruować zegary. W wyniku tego ponad stulecie przed Christianem Huygensem zaprzęął wahadło do pracy. Jego wynalazkiem był również wychwyty do dziś stosowany w zegarach. Będąc jednak samotnikiem nie rozgłaszał swoich dokonań. Przeciwnie, starał się, zazdrosny, ukryć je przed światem. Z biegiem lat zainteresowanie przekształciło się w obsesję. Pomału, gdy zegary wypełniły już całą bibliotekę, zaczął tworzyć ich wizerunki na zewnątrz. Rozkazał budować ogromne wieże, które niczym wielkie chochoły wkrótce wypełniły kraj.

Mimo to Książę dalej nie zaznał upragnionego spokoju. Nadal szukał oparcia w, jak mniemał, zwodniczym i zdradzieckim świecie. Potrzebował czegoś stałego, niezmiennego, na czym mógłby, podobnie jak na czasie, polegać bez reszty.

W końcu znalazł. Tym czymś stało się dla niego prawo. Zachwycały go paragrafy skrupulatnie regulujące społeczne życie. Z podziwem patrzył na drobne zapiski rzymskiego prawa, które potrafiły przetrwać stulecia i dalej oddziaływać na współczesny mu świat. Z biegiem czasu sam zaczął je tworzyć i podobnie

jak w przypadku zegarów zaangażował się w to bez reszty. Z połączenia tych dwóch rzeczy, a mianowicie prawa i czasu stworzył system rządów, który po odziedziczeniu władzy, narzucił poddanym. System okazał się doskonały. Życie ludzi zostało prawie idealnie wyregulowane. Nie było w nim miejsca, a właściwie czasu na przestępstwa. Nad wszystkim czuwało prawo, które rozstrzygało każdą, nawet najdrobniejszą kwestię.

Mijały lata i ku radości księcia, lochy zaczęły powoli pustoszeć. Prawnicy zaś, dotychczas zapełniający sale rozpraw, zaczęli zajmować się jedynie tworzeniem nowych przepisów.

Jednak po pierwszej euforii przyszła chwila refleksji. Księżę odnajdując analogię między prawem, a mechaniką o dziwo zaczął się niepokoić tym doskonałym stanem. Dlaczego? Ano dlatego, że prawo uważał za pewnego rodzaju złożony mechanizm, który mimo, że idealny potrzebuje, tak jak każdy, ciągłego smarowania. Według władcy owym smarem mógł być tylko uczciwy proces i wykonana bez zbędnej zwłoki kara. To jej obecność oddziaływała na ludzi, przypominając im o koniecznym posłuszeństwie. Brak kary mógł spowodować, że cały system stałby się ofiarą własnego sukcesu. To właśnie osoba Grafa miała tu decydujące znaczenie. Księcia nie tylko cieszyło to, że w końcu znikną demony przeszłości, ale również pokładał nadzieję w jego ... krwi. To ona, właśnie, miała stanowić ową oliwę systemu. Widząc jego olbrzymi kark już wyobrażał sobie jak spada na niego katowski miecz. Przez moment popadł w ekstazę. Poczul jak ślina wypełnia mu usta. Opanował się jednak i przez zaciśnięte zęby wysyczał.

- Witem Grafie. Czy, aby nie za szybko przybyłeś ?

Bardov uśmiechnął się i rzekł tylko jedno zdanie.

- Księżę, wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.

- W Nowym Roku - powtórzył władca - a czy ty myślisz, że go dożyjesz?

Niezrażony tym Graf powtórzył życzenie jeszcze dobitniej .

- Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku ! - . Gdy wymawiał te słowa po raz drugi , na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

- Przestań mi tu gadać o Nowym Roku. Zaczynj martwić się o swoją głowę, bo niechybnie zaraz spadnie do kosza! - rzekł już nieco podenerwowany księżę.

Nim Graf zdążył ponownie się odezwać, przed oblicze władcy wystąpił astrolog. Wyraźnie doszedł do wniosku, że najwyższy czas przerwać tę scenę.

Panie... .

Słucham! - rzekł krótko księżę.

- Nie na darmo Graf składa tobie życzenia. Wszak mamy dziś pierwszy stycznia 1583 roku - powiedziawszy to, astrolog skłonił się jeszcze niżej.

Jak to, do cholery, pierwszy stycznia! - krzyknął zdziwiony księżę - przecież do końca roku zostało jeszcze kilka dni.

Panie Łaskawie nam panujący na Stolicy Piotrowej, Papież Grzegorz XIII, w swojej mądrości podarował nam nowy kalendarz. Raczył usunąć dziesięć dni, które niepotrzebnie pojawiły się na przestrzeni stuleci oraz dokonał pewnych regulacji, które zapobiegą temu w przyszłości.

Księżę stał zdumiony. Astrolog chcąc odciągnąć jego uwagę od zaistniałej sytuacji, podjął próbę zainteresowania go nowym kalendarzem. Jednak Zygfryd nadal stał bez słowa i nie słuchając w tej chwili dalszych wywodów, próbował ogarnąć wszystkie, możliwe konsekwencje wynikłe z tego niecodziennego zdarzenia. Mimo, że miał mętlik w głowie, jedno powoli stawało się jasne. Graf i tym razem ocali skórę, a on, niestety, nie ma już na to wpływu.

Dura lex, sed lex. - pomyślał patrząc na księgi przykute do stołów.

Księżę przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Wracał właśnie po wielu miesiącach z wyprawy wojennej. Droga była długa, a ponieważ nigdy nie lubił koni, szybko zrezygnował z jazdy wierzchem i przesiadł się do karocy. Jak zwykle jechał sam, miał więc wiele czasu na rozmyślanie. Był zły, bardzo zły ponieważ

nie pokonał wroga, który zapewne wiedząc, że nie dałby radę wojskom księcia w bezpośrednim starciu, specjalnie unikał walki. Co prawda, po wielu miesiącach podchodów udało się, poprzez negocjatorów, ustalić termin decydującej bitwy, lecz gdy Zygryd przybył o wyznaczonej porze, przeciwnika ... nie było. Stchórzył - pomyślał - Poddał się bez walki. W pierwszym momencie bardzo go to ucieszyło, lecz po chwili dostrzegł, że sprawy wcale nie wyglądają aż tak dobrze. Wojska wroga nie zostały rozbite i pewnie za jakiś czas wzrosną w siłę. Księżę zaś dysponował aktualnie największą armią na jaką było go stać. Ponieważ był już grudzień i brakowało paszy, pościg za wrogiem nie wchodził w rachubę. Wszak nikt o tej porze nie prowadził wojen. Musiał zrezygnować i szybko wracać przed nadejściem mrozów. Siedział teraz w powozie zły, nudząc się przy tym niemilosierdzie.

Na wojnie, jak to na wojnie podczas przemarszu nie było zbyt wielu rozrywek. Sięgnął więc po wino i zaczął nim zalewać robaka. Gdy wjeżdżał do stolicy był już nieźle podpity, żeby nie powiedzieć pijany. Spojrzał przez okno i zauważył jakieś zamieszanie. Przysunął się do szyby i błędnym wzrokiem zaczął spoglądać na tłum. Ludzie na ulicach krzyczeli i wiwatowali. Jeden drugiemu padał w ramiona krzycząc przy tym radośnie. Księżę od razu skojarzył to ze swoim powrotem. Uradowany, przez okno karety, zaczął machać do tłumu. Zastukał laską w dach, dając w ten sposób stangretowi znak, aby zatrzymał konie. Chwiejnym krokiem wysiadł z karety i usiłował zbratać się z tłumem. Nie wiadomo co byłoby dalej, gdyby nie adiutant. Szybko, z pomocą stangreta, odciągnął księcia od ludzkiej ciżby. Gdy mężczyźni starali się z powrotem wciągnąć go do powozu, władca krzychał:

- Zobaczcie jak mnie kochają! Oni wiwatują na moją cześć! Cieszą się ze zwycięstwa!!!

W końcu zmęczony podróżą padł na siedzisko. Alkohol oraz emocje dokonały swego. Zasnął kamiennym snem, a gdy kareta zajechała przed zamek, służba zaniósła nieprzytomnego Zygryda do jego sypialni. Położono go do łóżka, na którym w ubraniu spał do rana. Gdy nazajutrz wstał, mocno skacowany, wspomnienie wczorajszej przygody nieco poprawiło mu kiepski humor. Był nawet zadowolony z urzędników, którzy, jak sądził, przekuli porażkę w zwycięstwo. Teraz jednak uświadomił sobie jak bardzo się mylił, wzięwszy sylwestrową zabawę za tryumfalne powitanie zwycięzcy. Nagle uświadomił sobie, że to nie przeciwnik, lecz on nie stawiał się o wyznaczonej porze.

Teraz jego gorycz przebrała miarę. Głośno krzycząc, kazał się wszystkim wynosić. Wystraszeni dworacy, jeden po drugim, zaczęli szybko opuszczać salę.

- Ty zostajesz - krzyknął do astrologa, który jako jeden z pierwszych skierował się do wyjścia - z tobą jeszcze nie skończyłem.

- Panie, co mamy zrobić z więźniem - zapytał dowódca strażników eskortujących Bardova.

Księżę nie od razu odpowiedział. Chwilę toczył wściekłym wzrokiem po sali po czym zmierzył nim Grafa. Przez rozchylone nozdrza szybko wdychał powietrze. Po nabrzmiałej od gniewu, czerwonej twarzy ciurkiem spływał mu pot.

- Zabierać mi go sprzed oczu i ... puścić wolno - słowa te wycedził przez zęby, po czym szybko, tak aby nikt tego nie zauważył, odwrócił się do okna. Po rozgrzanym policzku, z wolna, zaczęła spływać mu łza bezsilności.

*

Duże płatki śniegu gęsto spadały na ziemię. Księżę obserwował je uważnie. Śledząc drobinki, próbował nadażyć za ich ruchem, aż do momentu gdy te nie zniknęły w ciemnościach. Nie było to łatwe zadanie, bowiem śnieg unoszony prądem powietrza wirował wesoło, czasami unosząc się, to opadając, kręcił koła umykając przed wzrokiem. Ta zabawa powoli go uspakajała. Emocje znów ustępowały zdrowemu rozsądkowi. Wnet zaczął chłodno kalkulować, lecz ta wyjątkowa i niespodziewana jasność umysłu nie wróżyła niczego dobrego. Zygryd wiedział, że jeszcze dziś spotka go coś przykrego i nieuniknionego. Nie martwił się tym jednak na zapas. Korzystając z okazji, zaczął analizować sytuację.

Zdawał sobie sprawę z konsekwencji politycznych, jakie niesło za sobą niestawienie się na polu bitwy.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem, to on nie podniósł rękawicy. Będzie to zapewne miało swoje reperkusje zwłaszcza tu na północy, gdzie prawo feudalne miało jeszcze duże znaczenie, a takie wartości jak honor rodu, władcy czy rycerza były w cenie. Jego księstwo było niewielkim państwem wciśniętym, jak kilka mu podobnych, między wielkie potęgi. Mogły one jednym skinieniem ręki anektować takie maleństwa i tylko dlatego tego nie robiły, by nie zakłócić delikatnej równowagi jaka istniała między tuzami. Równowagi dzięki, której takie mini państwa stawały się, w ich polityce, jęczyczkami uwagi. Każde mocarstwo brało pod opiekę małą drobinę i niby to występując w jej interesie, tak naprawdę załatwiała swoje sprawy. Mimo to, taka sytuacja miała pewne zalety, umożliwiała bowiem przetrwanie u boku silniejszego. Wymagało to jednak od władcy utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkim możliwymi tego świata oraz dbanie o dobre imię i honor. Niestety ten ostatni został nieco nadszarpnięty. Książę ciężko westchnął. Wyraźnie nadchodzący rok nie zapowiadał się zbyt dobrze. Nie miał złudzeń co do postawy Bardova, który, zapewne, po takim przywitaniu, dumny, wnet zacznie spiskować. Jedyne na co mógł Zygfryd liczyć to na kochliwość Grafa, która już raz doprowadziła go do katastrofy. Musiał jednak przyznać, że po tylu latach tak naprawdę nie było wiadomo, czy przypadkiem Bardov się już nie ustatkował. Przez chwilę rozważał tę kwestię, w końcu jednak przypomniał sobie o astrologu. Odwrócił się od okna.

- Dlaczego, durniu, nie powiadomiłeś mnie o tym ?! - zaczął ostro.

- Panie, wysłałem aż trzech posłańców.

- Trzech? A co się, ...mój drogi, z nimi stało?! - spytał książę z nutą drwiny w głosie.

- Wróg ich skrytobójczo zabił.

- Wszystkich?

- Tak, Panie.

- Dlaczego w takim razie nie skorzystałeś z systemu wież ?!

- Książę, wszak system sięga tylko do granic.

- Stamtąd mogłeś wysłać posłańca. Pokaż, idioto, którędy jechali.

Z tego, co na mapie pokazał astrolog wynikało, że co prawda udali się trzema różnymi drogami, jednak wszystkie, o dziwo, przebiegały przez gesty las, gdzie lunety obserwacyjne były bezużyteczne. Jeszcze jedno było zastanawiające. Wszystkie napady dokonano poza terenem księstwa. Zbieg okoliczności - zastanawiał się książę - czy to możliwe, aby wróg znał każdą trasę, a jeżeli tak to od kogo? Spojrzał podejrzliwie na astrologa. Wiedział o jego rozrzutnym trybie życia i umiłowaniu do zabaw. Wydawał na nie krocie. Chciwy lis. Czyżby to on? -. Jednak podejrzewania pozostawił dla siebie. Na razie, poza nieudolnością, nie mógłby mu niczego zarzucić.

- Mój drogi czy, w związku ze zmianą daty, skorygowałeś już swój horoskop? - przerwał w pół zdania astrologowi.

- Nie panie, nie miałem na to czasu. Musiałem zająć się innymi sprawami

- Koniecznie musisz to zrobić - powiedział z naciskiem - a teraz odejdz! A, jeszcze jedno. Szczęśliwego... Nowego... Roku !!!

Ostatnie słowo wypowiedział twardo, patrząc przy tym uczonemu prosto w oczy. Przez ciało astrologa przebiegł dreszcz. Krew odpłynęła mu z twarzy. Stał blady jak ściana. Z przejęcia przełknął ślinę. To wszystko nie uszło uwadze księcia.

- Dziękuję, panie - odrzekł zmieszany i skłoniwszy się, wyszedł.

- Strach go obleciał, i dobrze - pomyślał książę -. Teraz na pewno popełni błąd. Wystarczy tylko poczekać.

Zygfryd w nocy dostał gorączki. Wezwany medyk starał się zbagatelizować sprawę, lecz jego troskliwe ruchy zaprzeczały słowom. Co chwilę, z uwagą, spoglądał na księcia. Mimo to zalecił jedynie tradycyjne leczenie przeziębienia. Nim opuścił sypialnię, nalegał by koniecznie pozostał w łóżku.

- Głupi konował - pomyślał Zygfryd –. Co ten stary dureń może wiedzieć. Świeże powietrze dobrze mi zrobi i może w końcu ustąpi ta cholerna migrena.

Wstał i szybko się ubrał. Następnie podszedł do szafy i wyciągnął z niej wielką, metalową oliwiarkę. Otworzył wieczko i sprawdził czy jest pełna, potem wyszedł z sypialni kierując swoje kroki w stronę wieży. Jednak nie wybrał drogi prowadzącej przez zamkowe korytarze, lecz od razu poszedł w kierunku wyjścia na dach.

Miedzy boczną, a zegarową wieżą znajdowała się szeroka, drewniana platforma usadowiona mniej więcej w połowie wysokości spadzistego dachu. Umożliwiała ona bezpieczne przejście oraz pozwalała na podziwianie rozgwieżdżonego nieba.

Metalowe drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. W ich wnętrzu ukazała się postać Zygfryda. Przeszedł przez próg i stanął w głębokim śniegu. Spojrzał dokoła, po czym powoli ruszył przed siebie. Kiedy uszedł kilka kroków, usłyszał tajemniczy szmer, lecz nie zwrócił na niego uwagi. Po chwili szmer pojawił się ponownie tym razem już znacznie głośniejszy. Zygfryd przystanął, a ponieważ, poza spadającym z dachu śniegiem, nie zauważył niczego niepokojącego, ruszył dalej. Jednak, to co po chwili zobaczył zdziwiło go niezmiernie.

Odsłonięte dachówki zaczęły wykonywać dziwne ruchy. Jedna po drugiej unosiły, to opadały, tworząc coś w rodzaju, rozchodzącej się wzdłuż dachu, fali. Podobnie zachowywały się gąsiorzy wieńczące konstrukcję. One również wykonywały ruchy przypominające pełzanie olbrzymiego gadziego grzbietu. Nie dane mu było jednak, zbyt długo oglądać ten niecodzienny widok, bowiem niemal w tym samym czasie jedna z olbrzymich figur ożyła.

Maszkaron, który przez dziesięciolecia, rękoma podpierając głowę, zdobił zamkowy gzyms, poruszył się nagle. Obrócił w kierunku księcia kamienną głowę, i zapewne zdziwiony tym nowym widokiem chwilę na niego patrzył w bezruchu. Następnie uniósł korpus na dłoniach i odrywając swoje pół-ciało od kamiennej podstawy, zsunął się z postumentu.

Niczym żebrak-kaleka podciągając tułów na rękach, zaczął podążać w kierunku Zygfryda. Maszkaron, zdobny w ciężkie skrzydła, podszedł do niego i patrząc prosto w oczy uniósł głowę. Księżę cofnął się z wrażenia upuszczając oliwiarkę. Kamienny posąg spojrział za nią chciwie i wyciągnął w jej kierunku zdeformowaną, szponiastą dłoń. Chwycił naczynie, a jego wyjątkowo szpetne oblicze wykrzywił grymas uśmiechu. Mocno przycisnął oliwiarkę do piersi i jak dziecko swą ukochaną zabawkę zaczął tulić do siebie. Stał tak przez chwilę, po czym, nie zważając na Zygfryda, chwycił ją w zęby i dalej zaczął wlec swe chrome ciało po dachu.

Księżę nie miał czasu śledzić dalszych jego losów, bowiem w miarę jak ruchy dachu stawały się coraz gwałtowniejsze, drewniany podest zaczął niepokojąco skrzypieć, dając w ten sposób znak, że zaraz runie. Zygfryd mocniej chwycił balustradę i spojrział ze zgrozą przed siebie. Na końcu dachu tkwiła metalowa rynna zakończona głową smoka. Widział jak uniosła się nieco do góry, wyrywając, przy tym, z dachu utrzymujące ją kotwy. Zapewne był to dla niej spory wysiłek, gdyż na moment znieruchomiała zbierając siły. Po chwili ruszyła ponownie, czyniąc przy tym spustoszenie wśród metalowych okuć dachu. Gdy pokonała krępujące ją jarzmo, niezwłocznie podążyła w kierunku Zygfryda. Rury tworzące jej szyję zdawały się wysuwać bez końca, skrzypiąc i trzeszcząc przy tym niemiłosiernie. Wielka metalowa głowa zawisała nad księciem i lekko kołysząc się, spoglądała na niego pustką oczodołów.

- Czy poznajesz mnie księżę? To ja, to ja jestem twoim przeznaczeniem – z głębi zadudnił metaliczny głos.

Zygfrydowi głos wydał się znajomy. Czyżby to był... - pomyślał księżę, lecz zanim dokończył myśl smok znów przemówił.

- Tak, to ja. Poznajesz mnie to jestem twoją Nemezis... twoim przekleństwem. Chcesz mnie pokonać?! Cha, cha ... twoje prawo zawiodło cię tak samo jak czas. Nic mi nie zrobisz, głupcze!

- Odejdź maro przeklęta - krzyknął Zygfryd – idź do piekła. Nie boję się ciebie. Pokonam cię gadzino.

Książę sięgnął po miecz, który nie wiadomo skąd pojawił się u jego boku. Zrobił krok do tyłu i ciął nim z całej siły. Stara, miedziana blacha powinna, po uderzeniu, rozpaść się na kawałki, lecz nic takiego nie nastąpiło. Broń odskoczyła tak jakby trafiła na skałę. Zygryd poczuł przenikliwy ból w nadgarstku. Teraz, chwyciwszy miecz oburącz, z całej siły wykonał następny cios. Wnet usłyszał gwałtowny trzask pękającego żelaza. Resztki broni wypadły mu z ręki. Gdy Książę stał zdziwiony ze smoczjej głowy dobył się szyderczy śmiech.

- Nie pokonasz mnie. Twój czas już minął, a ty odchodzisz wraz ze starym rokiem. To ja jestem jutrzeńką i nadzieją na nowy.

- Mylisz się - krzychał książę - . Myślałem nad tym od dawna. Wahałem się, a teraz wiem, że to zrobię. Tak, zrobię to i piekło pochłonie ciebie i twoich pobratymców. Zmienię prawo tak, aby cię pokonało. Zapiszę na wieki broń doskonałą: Domniemanie Winy. Tak ...Domniemanie Winy to oręż którym uratuję księstwo, a jego ostrzę zatopię w twym plugawym sercu!

- Nie odważysz się. Nie doważysz się tego zrobić - zaryczał smok – . Pokolenia przeklną cię na wieki !

- Lecz następne wychwalać będą. Zrobię to, by cię w końcu pokonać i zatłuc na śmierć, a krwią twą naoliwić tryby !

- Ty podły karle zgiń, przepadnij !- wyrzucając z siebie słowa, smok wykonał ruch w jego kierunku. Książę rękoma zasłonił głowę i upadł na ziemię. Z ust zaczął toczyć pianę. Jeszcze przez chwilę rzucał się na śniegu, po czym znieruchomiał.

Książę leżał tak dość długo i z pewnością zamarłby do rana, gdyby na dachu nie pojawili się dwaj żołnierze. Ostrożnie podeszli do niego. Stali przez moment niezdecydowani, jakby nie wiedzieli co dalej mają robić. Spojrzeli w kierunku drzwi w których stał nadworny medyk. Lekarz skinął głową. Na ten znak z należnym szacunkiem, podnieśli Zygryda. Ujęli go pod ramiona i wolno powlekli w stronę wieży. Gdy drzwi trzasnęły za nimi, na dachu zapanował spokój i tylko wygnieciony śnieg świadczył o scenach, które się tutaj rozegrały.

Setki mil stąd nad mapą kontynentu siedział siwy starzec. W świetle kandelabra, pochylony przyglądał się skomplikowanym liniom, które wiły się niczym węże, wyznaczając granice między państwami. Przez chwilę dumiał nad poplątanymi losami Europy, lecz dziś jego serce wypełnione było uczuciem spełnienia. Był dumny z tego co niedawno uczynił.

- Kto wie, może usunięcie tych kilku dni zostanie w przyszłości docenione jako próba zapanowania nad chaosem. Może będzie krokiem, który jeszcze bardziej przycisnie narody do serca Kościoła - rozmyślał. Był stary, bardzo stary. Niewiele już pozostało mu życia, więc tym bardziej był zadowolony, ponieważ zawał sobie sprawę, że zanim odejdzie z tego padołu coś po sobie pozostawi.

Grzegorz XIII nie mógł przewidzieć, że tą drobną manipulacją czasem, gdzieś hen w małym księstwie spowodują katastrofę i obudzi rojenia szalonego umysłu, niszcząc w ten sposób i tak już kruchą europejską równowagę. Do bram miasta zbliżał się Nowy Rok i już nikt i nic nie mogło go tym razem powstrzymać.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.